

Las

20 maja 1922

Postanowiłem napisać dziennik. Możliwe, że poprawi to mój nastrój. Jeśli nie, to będę miał przynajmniej co robić w wolnym czasie. Jakbym miał go dużo...

No, ale do rzeczy. Nazywam się Albin Infeli. Pełnię funkcję szefa policji i poczty w małym mieście Grandinem. To ponura dziura, w której, jeśli nie pada, mgła sprawia, że nie widać czubka własnego nosa. Nasza miejscina leży koło ogromnego lasu, nieprzebytej kniei, której wszyscy unikają jak baba znachora. Nie mieliśmy pomysłu, jak go nazwać, a ponieważ nie widnieje na mapach i nie jesteśmy nazbyt kreatywni, nazywamy go po prostu Las. Samo miasteczko ponoć jest bardzo stare, lecz teraz praktycznie gnuśnieje w zapomnianym skraju świata. Mieszka u nas około pół tysiąca osób. Mamy jedną pocztę, która jest jednocześnie komisariatem. Nie wiem zresztą, po cóż nam poczta, gdyż nie pamiętam (pracuję na tym stanowisku ze 30 lat), aby przyszedł tu choć jeden list. Wszystkie najważniejsze budynki (XVIII wieczna biblioteka, poczta i ratusz) mieszczą się na rynku, którego ze względu na wiek nazwaliśmy Starym Rynkiem. Rynek, to chyba za duże słowo. Stoi tam jedna latarnia, zepsuta z resztą, a miast dodającej wdzięku kostki lub chociaż płytek mamy zwykłą ziemię niedbale sypniętą na 20 arowy placyk. Z 'ryнку' symetrycznie wybijają 4 ulicę. Krótka, Chmurna, Rynkowa i Czwarta. Wiem, że ostatecznie miano uliczne nie jest zbyt wykwintne, ale nie wymagaj od nas, czytelniku, zbyt wiele. Drugą propozycją była Leśna, ale ta nazwa zdecydowanie źle się tu kojarzy.

14 czerwca 1922

Wczoraj stało się coś dziwnego. Do miasta dorożką (naszym jedynym kontaktem z sąsiednimi Bacht i Terin) przyjechali przedziwni przybysze. Ponoć było ich czterech. Wyglądali niemal identycznie. Byli bardzo wysocy i szczupli. Mieli staromodne czarne peleryny z fikuśnymi srebrnymi przypinkami. Było z tymi ozdobami coś dziwnego. Pytałem wszystkich, którzy ich widzieli, lecz każdy mówił co innego. Jeden widział smoka, inny zaś, sam burmistrz Karol Sanders, pieczęć królewską. To śmieszne, ale Sanders obawia się dygnitarzy i u każdego przyjeźdnego doszukuje się konszachtów z rządem. Najciekawiej ozdobę opisał sześciolatek syn tkaczki. Według niego była to koza z długimi skręconymi do wewnątrz rogami. Straszliwie się jej bał, bo kiedy go o ten emblemat zapytałem zaczął płakać. Bardzo mnie to zastanawia...

Wracając do tematu przybyszów. Rozlokowali się w naszym jedynym hotelu. Rozpadającej się spelunie, którą właściciel słusznie nazwał „Jama”. Plotki rozchodzą się nad wyraz szybko, więc dowiedziałem się, że zapłacili w dolarach. Ich głos podobno mroził krew. Był pusty, bez tembru, wibracji, jakby wydobywał się znikąd. Nikt nie widział ich twarzy. Mieli mocno nasunięte kaptury, a spod ich cienia nie było nic widać. Nic prócz ostrego nosa, zapadniętych policzków i małych matowych ust. Żaden z nich nie miał bagażu, ani tobołka. Tylko te przerażające peleryny...

15 czerwca 1922

Właśnie z nim rozmawiałem. To znaczy z ich przedstawicielem. Nigdy tego nie zapomnę. Był w marynarce. Miał kruczoczarne włosy i niebieskie oczy. W jego wyglądzie było coś, co nie daje mi spokoju. Sprawiał wrażenie normalnego, a jednak w jego ubiorze, sposobie artykułowania, czy choćby gestykulacji było coś nad wyraz, upiornie, obcego. Nie potrafię tego sprecyzować. Zapytał jedynie, czy to ja jestem tutaj przywódcą. Przywódcą? Cóż za archaiczne pytanie. Odpowiedziałem mu, że jestem szefem poczty i policji. Na to przyjrzał mi się badawczo i powiedział swoim zimnym, jakby pełnym ironii, tonem, że są turystami z Ameryki i chcą zbadać nasz las. Nasz Las? A cóż w nim ciekawego? Zwykła prastara, woniąca zgnilizną kupa drzew. Niezwykle dziwnych i strasznych drzew. Zapytał o pozwolenie na wstęp do Lasu dla czterech osób (a więc jednak!). Grzecznie odpowiedziałem, że muszę zapytać ludzi, czy nie mają nic przeciw temu. Wtem podszedł bliżej mego biurka i spojrzał mi prosto w oczy. Poczuję niewyobrażalną grozę i rozpacz. Jakby wola tysięcy dusz wdzierła się do mojej świadomości i wrzeszczała z całych sił, abym bezwarunkowo pozwolił na wszystko, o co nieznajomy poprosi. Nie miałem sił na choćby drgnienie, a obca wola wywierała na mnie coraz większy wpływ. Dalej nic nie pamiętam. Ocknąłem się koło trzech pacierzy później z okropnym bólem głowy, a po Nim nie było ani śladu

16 czerwca 1922

Nikt Ich nie widział. Zniknęli. Nie ma w „Jamie”. Nigdzie. Całe miasto szuka. Do diabła z Nimi. Wiem gdzie poszli. Ale po cóż mieliby iść do tego przeklętego lasu. Nie chcę wiedzieć. Nikt nie chce. Oby nie wrócili. Niech Ich diabli. Ten wzrok. Ten przeklęty wzrok...

17 czerwca 1922

Znaleźli ślady. Prowadziły do Lasu. Tam się urywały jak i odwaga grupy ratunkowej. Nikt nie poszedł dalej. Granica Lasu, to granica człowieka. Granica, której NIE wolno przekraczać.

26 czerwca 1922

Są. Znaleźliśmy Ich. Zdaje się, że popełnili samobójstwo. Na skraju Lasu, w jakiejś norze. Jaki to był smród. Jaki straszliwy smród. Mieli na sobie te peleryny. Siedzieli nienaturalnie prosto w kręgu. Ich martwe, mętne oczy patrzyły w dal, jakby czegoś szukały. Mimo, że siedzieli w podziemnej lepiance patrzyli idealnie w stronę Lasu. Upiorny, wręcz groteskowy widok. W kręgu tym paliły się zielone ogniki. W środku zaś, perfekcyjnym centrum, koza ze skierowanymi do wewnątrz rogami.

27 czerwca 1922

To dziwne, bardzo dziwne. Lekarz stwierdził, że nie zna przyczyny zgonu przybyszów. Ponadto orzekł, że nie żyją co najmniej miesiąc. Był wyraźnie zniesmaczony samym przybyciem do Grandinem z ciepłego domku w Bachtii. Nadszarpnąłem jego i tak skołatane nerwy, kiedy powiedziałem mu o Nich. Słyszając historię pobladł i powiedział ze strachem w głosie, że już nigdy nie zawita do naszego przeklętego miasta. Zabrał swoją tekę i trzaskając drzwiami wyszedł na Rynek. Musiał być wściekły. Dorożka dziś nie odjeżdża.

30 czerwca 1922

Nie ma Stephensa. To znaczy owego lekarza z Bachtii. Nie ma. Zniknął. Zapadł się pod ziemię. O zgrozo, zwłoki też zniknęły. Wiedziałem, że budowa przychodni, szpitala i kostnicy w jednym budynku nie było dobrym pomysłem. No, ale jak wytłumaczyć to ludziom, którzy za wszelką cenę chcą ciąć koszty!

4 sierpnia 1922

Ktoś zaginął w Lesie. Sześćioletni Edmund, syn tkaczki, wyszedł wczorajszej nocy z domu krzycząc coś w niebogłosy. Potem puścił się pędem do Lasu i słuch o nim zaginął. Rozmawiałem z panią Adelajdą, jego matką. Zadawałem jej pytania, jak to policjant. Czy zauważyła pani coś podejrzanego i tym podobne. Popatrzyła wtedy na mnie mówiąc, że odkąd Edmund widział tych pomyleńców na rynku, bardzo się zmienił. „Przestał jeść. Mruczał po nocach jakieś inkantacje w dziwnym języku. Zaczął bać się koloru czarnego i zielonego. Ale najbardziej bał się kóz. Zabrałam go do Terin na jarmark. Kiedy zobaczył kozę zaczął płakać i błagał, żebym zabrała go do domu. Ludzie myśleli, że jest jakąś niedołągą. Wie pan...”

Rozmawiałem jeszcze z Ronnym Boderem, właścicielem hotelu. To pijaczyna, więc jego słów nie należy brać poważnie. Oto co powiedział (chyba dokładnie zapisałem):

„Panie Infeli (jestem chyba jedyną osobą, którą szanuje) ja wiem co widziałem! Szedłem sobie spokojnie do domu, aż tu nagle ktoś coś krzyczy. Odwracam się, a to pędzi ten chłopak! Oczy miał czarne! Czarne mówię! Biegł oszalały w stronę Lasu. Jezu co on krzyczał. Wrzeszczał! Pamiętam dokładnie! Kozo z Lasu przyjmij swe dziecię! O Wielka Szub! Szub-Niggurat!”

5 sierpnia 1922

Nie wiem, co o tym myśleć. Boder siedzi w domu załamany. Wciąż mamrocze coś pod nosem. Dałem mu krople trzeźwiące, ale nic to nie pomogło. Ludzie zaczynają coś przebąkiwać o wyruszeniu do Lasu, w poszukiwaniu chłopca. Chyba nikt o zdrowych zmysłach nie odważy się na taką wyprawę...

6 sierpnia 1922

Tego już za wiele! Zniknął Boder i burmistrz Sanders. Żadnych śladów. Nic. Jakby sami wyszli z domu w kierunku Lasu! To niedorzeczne! Zastanawiam się, czy dam sobie z tym wszystkim radę. Jestem tu jedynym stróżem prawa. Muszę wziąć się w garść...

15 sierpnia 1922

Nikt dotąd nie zaginął, ale za to nastroje ludzi znacznie się pogorszyły. Wczoraj przywlekli do mnie na komisariat Goleya, starego grzybiarza i wędkarza. Wszyscy go unikają, bo jako jedyny chadza do Lasu. Mówił mi niegdyś, że jest tam piękne jezioro, w którym można znaleźć mnóstwo ryb. Goley był w ciężkim stanie. Znaleźli go niedaleko granicy Lasu, obok swej chatki, jakieś cztery kilometry od mostu na rzece (znów bez nazwy), czyli wschodniej granicy Grandinem. Był cały umorusany jakąś ziemią. Miał szkliste oczy. Kiedy dałem mu sole zerwał się gwałtownie i zaczął coś krzyczeć w majakach. Udało mi się to uchwycić na fonografie, który stoi we wnęce przy wejściu. Oto zapis:

„...wielkie zło! (niezrozumiale) Na Boga! Kamienny krąg w środku Lasu! Zniszczcie to! Jeszcze nie jest za późno! Co Oni zrobili? Potworne kaptury (krzyk i bełkot) ludzie bez twarzy... Bluźnierstwo! Oczy, te straszliwe oczy! Jest Ich pięciu, musi być jeszcze czterech.

16 sierpnia 1922

Tyle uchwycił fonograf. Potem już tylko bełkot. Po ostatnich spazmach usnął, więc położyłem go w otwartej celi na dole. Napisałem, że jest szesnasty, bo jest pięć po północy. Nie czuję się bezpiecznie, więc w pogotowiu mam mój stary rewolwer perkusyjny. Nie wiem nawet, czy jeszcze strzela...

Ktoś coś krzyczy na dole. Wezmę lampę i pójde sprawdzic.

To Goley! Przewraca się na łóżku! Zapiszę na bieżąco, co mówi. Skończyły się szpule do fonografu.

„...mogą. Nie cofną się... Ktoś to musi skończyć... Obłąd! Szaleństwo! Muszą złożyć ofiarę! Nie mają Dziewięciu. Nie ma Dziewięciu Kapłanów. Grandinem wystarczy. Ludzie będą znikać. Wywiodą ich! Wywleką wszystkich! W sam środek Lasu! Nie cofną się... Ofiara być musi! Wielka Koza wymaga krwi! Te oczy... Strzeżcie umysłów! Widziałem! Ja TO widziałem! Na Boga... Biedny Boder... Co Oni mu zrobili... Świątynia w środku Lasu! Zniszcz To! Jeszcze nie za późno... NIE! (spazmy) Szukają mnie! Nie mogą mnie znaleźć! Są! Na Boga! Ratuj się... Wyjedź z tego miasta... Już wiedzą... UCIEKAJ!

17 sierpnia 1922

Wszystko, co pamiętam to widok upiornych, czarnych oczu. Obudziłem się koło ósmej z tym samym okropnym bólem głowy. Czuwał nade mną jakiś chłop. Zapytałem o co chodzi i kim jest. Powiedział mi, że wczoraj w nocy znaleźli mnie na dole w celi grzybiarza. Coś mamrotałem w majakach. Obok mnie leżał Goley. Był martwy. Miałem przy sobie stary rewolwer, ale ewidentnie nie zginął od moich kul. Właściwie nie wiadomo, na co zmarł. Na klatce piersiowej miał wyrytą nożem kozę z wygiętymi do wewnątrz rogami...

18 sierpnia 1922

Ludzie zwariowali! Idą dziś wieczorem do Lasu! Biorą topory i broń, ale coś mi mówi, że to za mało... Nie słuchali mnie, kiedy im mówiłem o tym, czego dowiedziałem się u Starucha (tak chłopci nazywali Goleya). Ja zostaję. Bardziej przydam się tu żywy, niż tam martwy (oby tylko). Oni niech idą. Ja przygotuję pozostałych. Dwustu chłopca na stracenie...

Jest koło dwudziestej. Zebrali się na Rynku. Mają widły, fuzje, strzelby i topory. To za mało. Nie wiedzą, co robią. Widzę z poddaszu mojego mieszkania jak milcząc idą w kierunku Lasu. Idą na swoją zgubę. Łuna latarni i ręcznych latarek rozświetla im drogę. Idą Czwartą. Posępnie, ale bojowo. Na ich twarzach maluje się dziwna mieszanka strachu z wściekłością i determinacją. Zbliżają się do mostku. Przeszli. Akurat dziś widoczność jest doskonała, ale Las pozostaje spowity mgłą. Zatrzymują się. Ustawiają się w jednej linii równolegle do ściany kniei.

Wchodzą. W jednej równej linii. Bez szemrania. Wszyscy równo. Dobrze przemyślane... Znikają. Została już tylko mgła. Mgła, Las i bezbronne Grandinem.

20 sierpnia 1922

Nie ma ich. Tak, jak myślałem. Może jeszcze szukają... Jeśli nie powrócą do tygodnia, ogłoszę żałobę...

Słyszałem niedawno legendę o lelkach kozodojach. Podobno, gdy ktoś ma umrzeć zbierają się w jego pobliżu. Te skrzekiem (trudno to nazwać śpiewem) dostrajają się do jego ostatnich wdechów. Kiedy ta osoba umiera lelki unoszą się w delirycznym tańcu usiłując pochwycić duszę zmarłego. Gdy im się uda, skrzeczą przeraźliwie ulatując do nieba, jeśli nie, opadają z sił i rozlatują się w różnych kierunkach.

Dlaczego o tym wspominam? Przyuważyłem, że kiedy chłopcy wyruszyli do Lasu, nieopodal rozległ się jakiś gwałtowny ruch i jakby krzyk... To były lelki. Mnóstwo ptaków... Istne chmary! Przysiadły na dachach domostw nasłuchując. Po dziesięciu minutach bezczynności ptaki wyraźnie się ożywiły. Podniosły się w górę w transie. Zaczęły krążyć spiralnie nad lasem powoli zmierzając do nieba. I wtedy usłyszałem ten straszny krzyk. Jakby setki gardel wołały ostatkiem sił o pomoc...

18 września 1922

Nie wrócili. Minął miesiąc. Nie ma ich. Ani widu, ani slychu. Kobiety i dzieci płaczą... Mówiłem, że to poroniony pomysł! Grandinem znacznie opustoszało... Nie dam rady obronić miasta przed takim złem. Za mną już prawie pięćdziesiąt wiosen! Jestem na to wszystko za stary...

19 września 1922

Jutro wybieram się na zakupy do Bachtu. Można kupić tam większość rzeczy pierwszej potrzeby. Muszę też załatwić parę spraw, więc pobędę tam z dwa dni. Trzeba jakoś wytłumaczyć władzom skąd u nas tyle zaginięć i co stało się z amerykańskimi "turystami". W końcu to teraz ja pełnię funkcję burmistrza... Muszę również kupić dobrą, poręczną broń, choć nie sądzę iż będę się stykał ze złem materialnym. Z tamtejszego hotelu dobrze widać Grandinem w bezmgielne dni.

20 września 1922

Kupiłem Mausera c 96. Miałem takiego za Wielkiej Wojny. Dobra broń, ale myślałem, że już jej nie produkują. Zaopatrzyłem się jeszcze w ręczną latarkę elektryczną (nowość zza oceanu) i płaszcz z grubego materiału (stary się podarł). Jest późno. Udam się na spoczynek. Jutro czeka mnie rozmowa z władzami...

21 września 1922

Przed chwilą się zbudziłem. Nie wiem, która godzina, ale zamiast porannego piania kogutów wyraźnie słyszę dzwon. Ubiore się ciepło i wyjrzę przez hotelowy balkon, by sprawdzić w czym rzecz.

Stoję przy barierce balkonowego okna. Nie wierzę własnym oczom. Grandinem się pali! Łuna bije na całą okolicę! Co robić... Matko Boska, co robić... Muszę wziąć się w garść. Spakuję manatki i ruszam pędem do miasta. Pożyczę konia i w pół godziny będę na miejscu. Sprawunki załatwię kiedy indziej...

Tylko czemu nie widać stąd akcji ratowniczej... Dzwony ucichły...

Jestem na miejscu. Wszystko spalone na popiół. Już po pożarze... Nic nie zostało... Jedyne osmalone zgliszcza mojego domu i kilku innych solidniejszych budynków. Wszystkie drewniane budowle spalone. Tylko czemu nie gasili? Resztki wozu strażackiego stoją w zgliszczach przykościelnej remizy. Piwnica komisariatu wygląda na całą...

Suterena się ostała! Nie ma tu, co prawda, niczego wartościowego, ale jest się przynajmniej gdzie przespać.

Znalazłem moje stare puzdro. Nic w nim chyba nie schowałem, ale wartołoby sprawdzić...

Jest tu stary stielhandgranate (niemiecki ręczny granat)! Może się przydać...

Poza kilkoma bezużytecznymi bibelotami znalazłem tam jeszcze lampę naftowa z lustrem kierującym wiązkę i trąbkę dla głuchych (nie pamiętam, po co ją tutaj wsadziłem).

Spędzę tu noc. Jest zimno, i nie mam lepszego wyjścia...

22 września 1922

Spało mi się nadzwyczaj źle. Jest w granicach przedświt. Słońce wyrzało smętnie zza porannych krwistoczerwonych chmur. Otworzyłem osmaloną drewnianą klapę od piwniczki. Na dworze dalej wonie pogorzelskiem. Wszędzie widać już tylko ruiny budynków. Pójdę na obchód. Może ktoś z pogorzalców wyżył do rana...

To niezwykle... Nie ma żadnych ciał... Nic. Zero. Trzysta osób rozplynęło się w powietrzu. To niemożliwe!

Znalazłem ślady stóp. Bardzo wielu stóp. Prowadzą prosto do Lasu. Wychodzą z każdego budynku w mieście... Dlatego nikt nie gasił... Ale kto bił w dzwony? Może to Ich fortel? Bardzo zmyślne... Są zdolni do wszystkiego.

Potknąłem się o wystającą cegłę i uderzyłem głową w ścianę. Straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem dotarło do mnie, co mogę zrobić. Czasem człowiek potrzebuje jakiegoś silnego bodźca...

Muszę to zakończyć! Muszę tam iść. Wprost do Lasu. Zniszczyć tę świątynię bałwochwalców! Nie chcę. Boję się, ale muszę. Tylko ja mogę to zakończyć!

Poukładałem sobie wszystko i wiem, że nie mogę zostawić świata z takim złem. A co, jeżeli po mnie przyjdą? Potrafią wyciągać ludzi z łóżek i wieść, gdzie Im się żywnie podoba, więc podstarzały lękliwy policjant nie stanowi dla nich przeszkody... Zaskoczę Ich. To ja pójdę do nich.

Skorowidz

Spiszę tu wszystko co o Nich wiem. Jeśli coś pójdzie nie po mojej myśli, może ktoś kiedyś znajdzie ten kajet i dowie się czegoś o źle tego Lasu. A może i tego świata?

- Znakiem ich kultu jest głowa kozy z wygiętymi do wewnątrz rogami
- Jest Ich pięciu (czterech widziałem)
- Czczą jakieś bóstwo, które zowią Wielką Kozą, albo Kozą z Lasu
- Potrafią w jakiś sposób wejrzeć w czyjąś jaźń i kontrolować jej ruchy (nawet na znaczną odległość)
- Potrzebują rytualnej ofiary, aby Coś (wolę nie przypuszczać nawet co) przywołać
- Raczej nie da się Ich zranić
- NIE WOLNO patrzeć Im w oczy
- Mają charakterystyczny sposób wysławiania się
- Noszą czarne kaptury nasunięte głęboko na twarze
- Słabe umysły wprawiają w obłąd
- Mają owalną kamienną świątynię w środku Lasu, w której pali się wieczny zielony ogień

To chyba tyle. Nic więcej o Nich nie wiem. Są nieprzewidywalni. Przypuszczam, że aby zakończyć ten koszmar muszę zniszczyć ich świątynię. Z tego, co mówił Goley nie jest jeszcze za późno. Wyruszam jutro po zmierzchu. Odprawię konia do Bachtii. Tam przenocuję i wrócę do Grandinem piechotą. Muszę być czujny, bo kręcą się tu jacyś rządowi od dochodzeń w sprawach katastrof naturalnych. Raczej nikt nie będzie mnie szukał. Pomyślą pewno, że nie żyję. Z chwilą przekroczenia przeze mnie granicy Lasu nie będą w błędzie...

23 września 1922

Jestem już na zgliszczach wioski. Koń odprawiony. Nikt się mną nie interesował. Rządowych nie ma. Zapewne uznali to, co na pierwszy rzut oka oczywiste i wrócili za ciepłe biurka...

Jestem gotów. Jest w granicach dwudziestej. Biorę ze sobą granat, pistolet (na wszelką sposobność), lunetę, lampę (latarka jest za ciężka), trąbkę (żeby Ich słyszeć na większą odległość) i oczywiście mój notes.

Granica. Mam przed sobą ścianę Lasu. Chyba najprzeróżliwsze miejsce na ziemi. Powyginane ze starości drzewa przypominają mi jakiś zgrzybiałych okrutnych czarowników. Na szczęście nie muszę ich oglądać, bo gęsta mgła sprawia, że ledwie widzę tę kartkę. Muszę wziąć się w garść! Dam radę! Las wygląda teraz jeszcze groźniej niż dotychczas... Mam na sobie ciężkie żołnierskie buty, więc bagna mi niestraszne. Mam też lampę, by oświetlać sobie drogę. Nie wiem, czy będzie potrzebna, bo dzisiaj pełnia. Sprzętowo jestem przygotowany, ale umysł wręcz krzyczy, abym czym prędzej się stąd zabrał.

Jestem w Lesie. Przeszedłem ledwie kilka kroków, a już czuję się zagubiony... Wszystkie te upiorne drzewiszcza wyglądają tak samo...

Znalazłem jakiś leśny strumień. Wygląda lekko frymuśnie. Przez jego ziemiste dno sprawia wrażenie smoliście czarnego. Mam nadzieję, że to za przyczyną podłoża...

Przypomniało mi się! Dziś ekwinokcjum! Równonoc i księżyc w optimum... Nie brzmi to zbyt naturalnie... To musiało być dzisiaj!

Nie będę już pisał tak często. Nie mam czasu. Zrobię wpis wtedy, gdy wydarzy się coś godnego zapisu. Im bardziej się zagłębiam w ten Las, tym robi się dziwniej...

Nie wiem, która to godzina, ale minęło bardzo dużo czasu od ostatniego wpisu. Księżyc wisi dokładnie nade mną, więc musi być późno. Natknąłem się na jeziorko, o którym wspominał Goley. Jest rzeczywiście piękne... W jego przeźroczach idealnie widać tarczę miesiąca. To musi być niedaleko. Grzybiarz raczej nie zapuszczał się w nieznane tereny. Raczej...

Znalazłem! Cóż za niezwykle to widok. Świątynia wygląda dokładnie jak opisywał Staruch. To kamienny, prastary wał około dwumetrowej wysokości. W połowie, patrząc od mej strony, ma jakby wycięty nożem wylom sięgający od góry konstrukcji do samej ziemi. To chyba wejście. W środku widzę kamienne palenisko, wewnątrz którego pali się zielony płomień. Znajduję się około pięćset metrów od tego bluźnierczego okropieństwa. Dobrze, że wziąłem lunetę. Lampa się już nie przyda, bo mogą mnie przyuważyć. Nie chcę nawet wiedzieć, co by się wtedy ze mną stało... Naciągnąłem Mausera. Żywcem mnie nie dostaną!

Jestem już blisko. Straszliwy fetor przed chwilą uderzył moje nozdrza. Oprócz tego wyraźnie słyszę jakieś śpiewy. Nie podchodzę bliżej, więc użyję lunety.

To szaleństwo! Przypatrzyłem się Im bliżej. Jest Ich pięciu. Jeden jakby unosi się nad ogniem. Ma czarną rewerendę, ale nie nosi kaptura. W świetle Księżyca dokładnie widać coś, co chyba jest twarzą. Wygląda jak rozciągnięta kula armatnia oblepiona przegniłym papierem z czarnymi ślepiami i karykaturą ust. Jednak najbardziej draczeni są jego rozmówcy. Stoją (oby) przed tym pogańskim przybytkiem. Nie wiem nawet, czy to osoby. Tkwią nieruchomo zawinięci w podobne czarne peleryny. Mają kaptury. Problem w tym, że mimo dobrego światła nie widzę ani ich twarzy, ani 'połączenia z ziemią'...

O czymś rozmawiają, dopiero teraz słyszę wyraźnie. Ten straszny nieumarły mówi głosem stu ludzi. Z tej mieszaniny słów oddzielić można kilka wyróżniających się głosów. Powiada jakby wewnętrznie, nie głośno, acz donośnie. Najdziwniejsi są jego czterej kumotrzy. Mówią bardzo cicho. Właściwie nie wiem, skąd dobywa się ich głos. Najciekawszy wydają się fakt, że choć Ich czterech, na pytania Jego odpowiada jedna osoba. Ten typ artykulacji wydaje mi się znajomy...

Bluźniercy! Poganie! Muszę to zapisać! To zbyt szalone i groteskowe żeby to opowiedzieć! Piszę na bieżąco. Każde zdanie to kolejne okropieństwo! G- Głos wspólny Czterech On- Głos Kapłana

G: ...zostało wykonane.

On: Przyprawdziliście łącznie 528 dusz. To zbyt mało. Nie ma tego stupajki! On za dużo wie!

G:<żalośnie> O Wielki Kapłanie! Znajdziemy go! Przyprawdzimy go tutaj i dokończymy rytuał. Pewnie zabrała go śmierć...

On: Nie! Nie! Rytuał Wielkiego Święta musi być odprawiony dziś. Czekałem pięćset lat na taki kazus. Dzień N'thlaei. Dzień Równi i Księżyca! Bogini się gniewa! Dała mi długie życie! Muszę spłacić dług!

Na te słowa poczułem przepelniający moje jestestwo gniew. Wolę setek dusz w stanie wściekłości napierającą ze wszystkich stron. Zobaczyłem, że ogień zaczyna miarowo przygasać, a postaci Czterech zaczęły się rozpylić. Wtedy usłyszałem ich krzyk przerażenia. Dojmujący i tak przytłaczający, że aż sam poczułem grozę, która ich ogarnęła. To było jak urywające się nagranie krzyczącego mężczyzny na starym fonografie. Tak nienaturalne, że aż ciarki przeszły mi po plecach...

Po chwili jęków, rozmowa toczyła się dalej

G:<lękliwie> Przepraszamy Wielki!

On: Milczeć! Wskrzesiłem was w jednym celu! Nieudacznicy! Życie tylko dzięki temu ogniovi! Mam go ugasić? Mam was odesłać z powrotem do Bogini?

G: <rozpaczliwie> Nie rób tego, o Potężny. O, Panie Lasu, nie rób tego. Tam było strasznie! Nie każ nam tam wracać! Źle odprawiliśmy rytuał przejścia! Pomyliliśmy formułę!

On: Odratowałem was, bo byliście mi potrzebni! Musimy dokończyć dzieło! Wielka musi do nas dołączyć! Nie wszystko jest zmitrężone! Gdyby nie strata Trzech we Francji, nie musielibyśmy zanieść Jej tych wieśniaków! Może źle policzono? Odprawimy rytuał!

G: <niepewnie> Tak Panie.

On: Przygotujcie włości! Może Wielka się zlituje i przyjmie taką liczbę? Wtedy zejdzie do nas i to my będziemy rządzić tym padłem! Na wieki wieków!

W tym momencie zoczyłem nagły ruch i jak spod ziemi pojawiło się pół tysiąca ciał. Stały w idealnym półkolu za kamiennym kręgiem. Miały martwe nieprzytomne twarze i czarne oczy. Były jak w transie. Śmiertelnej majace, która nie pozwalała im się poruszyć. Już wiem skąd ten zaduch woniący wyraźnie w okolicy. Ci ludzie gnili. Wyglądali jakby ich coś wyrwało z mogiły. Rozpoznałem tam, z niemałym trudem, twarz Goleya, burmistrza Sandersa czy choćby Stephensa. Na końcu tego straszego pochodu stała jakaś kupka tkanek. Zżerały ją robaki, a mięso oddzielało się samoistnie od kości. Zmroziło mi krew. Biedni ludzie! To ostatnie miało charakterystycznie krótkie ramiona i wysuniętą szczękę. Zupełnie jak mały Edmund...

Oblęd! Istny kręciek! Boże ześlij jakieś ptactwo, niech wydrapie mi oczy, bylebym nie mógł na to patrzeć! Ten widok wychodzi poza wszelkie normy okropieństwa! On ma uniesione w górę ręce i krzyczy w niebogłosy bluźniercze formuły. Tamta zgraja pomyleńców powtarza te

słowa w jakimś innym języku. Po tym jedna z osób z półkręgu wbiega szaleńczo w zielony piekielny war, następnie ogień bucha jej po czubek głowy, ofiara przytomnieje i zaczyna swój straszliwy larum. Kiedy już szczerze słycać krzyk lelków (których robi się tu pełno). Po ptakach słycać dziwną formę śmiechu Czterech. Niemożebny to widok. Zapiszę tę bluźnierczą formułę. Może jakiś znawca okultyzmu powie światu, co się tu odprawiało.

Kapłan: O Wielka Szub! Kozo z Lasu z Tysiącem młodych. Przyjmij swe dziecię i zstąp do nas, twych kornych sług!

Głos Czterech: Iunktus Szub! Suskipe filios tuos! O magnum hirkum! Szub-Niggurat!

Nie wytrzymam tego! Muszę zakończyć ten obrazoburczy rytuał! Podbiegnę tam. Są zbyt pochłonięci obrzędem by mnie zauważyć! Cisnę granat w sam środek ognia a potem oddam kilka strzałów do kapłana dla dywersji. Jeśli mi się nie uda, to mój ostatni wpis. Może nie uratuję świata, ale bodaj się starałem. Bóg mi świadkiem!

Udało się! Granat wybuchł, ale pod wpływem ognia a nie mechanizmu. Po rozwianiu ogników z watry Czterech oraz reszta ofiar natychmiast pozanikało. Kapłana trochę podziurawiłem, ewidentnie osłabł, ale czuję go na karku. Schowałem się w jakiejś norze.

Zdaje się, że resztkę swych przeklętych sił przeznaczył na odebranie mi tchnienia. Zabieram się stąd. Na pewno nie da za wygraną...

To już chyba mój ostatni wpis. Osaczył mnie. Czuję jak wdziera się do mego umysłu. Ledwie trzymam ołówek. Leżę teraz na polanie. Do wolności został mi mniej niż kilometr. Ale ja nie dam rady. To już koniec. Zło odbiera mi dech w każdej chwili. Czuję jego myśli. Wiem, co ze mną zrobi... On chce zabrać mnie do Niej, żeby mnie skarciła. Przynajmniej uratowałem świat...

Przeczołgałem się kilka metrów, ale to na nic. Na drzewie nad moją głową usiadło stadko ptaków. To lelki. Bardzo dużo lelków kozodojów. Wyglądają na zniecierpliwione...

Zaczynają krzyczeć. Ten ich deliryczny śpiew... Teraz już mnie nie przeraża. Zaczyna kość jak dobra baba do snu. Ich trel coś mi przypomina...

Tak, śpiewają w rytm mojego oddechu...